

Wykład o Ruandzie

Szanowni Państwo,

tematem naszego wykładu jest Ruanda. Ruanda to mały kraj, tak mały, że na wielu mapach, jakie znajdziecie w książkach o Afryce, jest zaznaczony tylko kropką. Dopiero w objaśnieniach do owych map przeczytacie, że ten punkt w samym środku kontynentu to właśnie miejsce, gdzie leży Ruanda. Ruanda jest krajem górzystym. Dla Afryki charakterystyczne są raczej równiny i płaskowyże, tymczasem Ruanda to góry i góry. Pną się one do wysokości dwóch-trzech tysięcy metrów, a nawet wyżej. Dlatego często nazywa się ją Tybetem Afryki – zresztą nie tylko z powodu gór, ale także ze względu na jej niezwykłość, odrębność, inność. Ta inność, oprócz geografii, dotyczy także społeczeństwa. O ile bowiem ludność państw afrykańskich jest z reguły wieloplemienna (Kongo zamieszkuje trzysta plemion, Nigerię – dwieście pięćdziesiąt itd.), o tyle w Ruandzie mieszka tylko jedna społeczność, jeden naród Banyaruanda, dzielący się tradycyjnie na trzy kasty: kastę właścicieli stad bydła – Tutsi (14 procent ludności), kastę rolników – Hutu (85 procent) i kastę wyrobników i posługaczy – Twa (1 procent). Ów system kastowy (o pewnych analogiach do Indii) ukształtował się wieki temu, zresztą nadal trwa spór, czy stało się to w wieku XII czy dopiero w XV, nie ma bowiem na ten temat żadnych źródeł pisanych. Dość że od stuleci istniało tu królestwo rządzone przez monarchę zwanego mwami, a wywodzącego się z kasty Tutsi.

Chronione przez góry królestwo to było państwem za-

mkniętym, nie utrzymującym z nikim stosunków. Banyaruanda ani nie organizowali podbojów, ani – podobnie jak kiedyś Japończycy – nie wpuszczali na swój teren cudzoziemców (stąd np. nie znali handlu niewolnikami, który był zmorą innych ludów afrykańskich). Pierwszym Europejczykiem, który dotarł do Ruandy w 1894 r. był Niemiec, podróżnik i oficer, hrabia G.A. von Götzen. Warto dodać, że już osiem lat wcześniej mocarstwa kolonialne, na konferencji w Berlinie dzieląc między siebie Afrykę, przyznały Ruandę właśnie Niemcom, o czym zresztą żaden Ruandyjczyk, łącznie z królem, nawet nie został powiadomiony. Przez te lata Banyaruanda żyli jako lud skolonizowany, w ogóle o tym nie wiedząc. Również później Niemcy mało się tą kolonią interesowali, a po I wojnie światowej utracili ją na rzecz Belgii. Belgowie też przez długi czas nie przejawiali tu większej aktywności. Do Ruandy było od wybrzeży morskich daleko, bo ponad 1500 kilometrów, ale przede wszystkim kraj nie przedstawiał większej wartości, bo nie znaleziono w nim właściwie żadnych ważnych surowców. Dzięki temu ukształtowany przed wiekami system społeczny Banyaruanda mógł w tej górzystej twierdzy przetrwać w nie zmienionej postaci do drugiej połowy XX wieku. System ten miał szereg cech przypominających europejski feudalizm. Krajem rządził monarcha otoczony grupą arystokratów i rzeszą rodowej szlachty. Wszyscy oni tworzyli panującą kastę – Tutsi. Ich największym i właściwie jedynym bogactwem było bydło – krowy zebu, odmiana o długich, szablitych, pięknych rogach. Tych krów nie zabijano – były święte, nietykalne. Tutsi żywili się ich mlekiem i krwią (krew, z nacinanych dzidą tętnic szyjnych, toczono do naczyń mytych krowim moczem). Wszystkim tym zajmowali się mężczyźni, dostęp do krów był bowiem kobietom zabroniony.

Krowa była miarą wszystkiego: bogactwa, prestiżu, władzy. Im kto miał więcej krów – tym był bogatszy. Im był

bogatszy – tym miał więcej władzy. Najwięcej krów posiadał król, a jego stada otoczone były specjalną opieką. Główny punkt obchodów święta narodowego stanowiła co roku defilada krów przed trybuną królewską. Przed oczyma monarchy przechodziło ich wówczas milion. Trwało to godzinami. Krowy wzbijały chmury pyłu długo unoszące się nad królestwem. Rozmiary tych chmur świadczyły o dobrobycie monarchii, a sama uroczystość była wielokrotnie opiewana w patetycznej poezji Tutsi.

– Tutsi? – słyszałem często w Ruandzie. – Tutsi siada na progu swojej chaty i patrzy, jak na stoku góry pasą się jego stada. Ten widok napędza go dumą i szczęściem.

Tutsi nie są pasterzami ani koczownikami, nie są nawet hodowcami. Są właścicielami stad, panującą kastą, arystokracją.

Natomiast Hutu to o wiele liczniejsza, podległa im kasta rolników (w Indiach nazywa się ich wajsiami). Między Tutsi i Hutu istniały stosunki lenne – Tutsi był seniorem, Hutu jego wasalem. Hutu stanowili klientelę Tutsi. Byli rolnikami żyjącymi z uprawy ziemi. Część zbiorów oddawali swojemu panu w zamian za opiekę i otrzymaną od niego w użytkowanie krowę (Tutsi mieli monopol na krowy. Hutu mógł je tylko dzierżawić od swojego seniora). Wszystko jak w feudalizmie – ta sama zależność, te same zwyczaje, ten sam wyzysk.

Stopniowo, w połowie XX wieku, między obu kastami narasta dramatyczny konflikt. Przedmiotem sporu jest ziemia. Ruanda jest mała, górzysta i bardzo gęsto zaludniona. Jak to często bywa w Afryce, również w Ruandzie dochodzi do walki między tymi, którzy żyją z hodowli bydła, a tymi, którzy uprawiają ziemię. Ale zwykle przestrzenie na kontynencie są tak wielkie, że jedna ze stron może usunąć się na wolne tereny i zarzewie wojny wygasa. W Ruandzie takie rozwiązanie nie jest możliwe – brakuje miejsca, żeby się usunąć, żeby ustąpić. Tymczasem stada posiadane przez

Tutsi rosną i potrzebują więcej i więcej pastwisk. Te nowe pastwiska można stworzyć tylko w jeden sposób: odbierając ziemię chłopom, tj. rugując Hutu z ich gruntów. Ale Hutu i tak już żyją w ciasnocie. Od lat ich liczebność szybko się powiększa. Na domiar złego ziemię, które uprawiają, są jałowe, bardzo liche. Bowiem góry Ruandy pokrywa bardzo cienka warstwa gleby, tak cienka, że kiedy co roku przychodzi pora deszczowa, ulewy zmywają jej duże połacie, a w wielu miejscach, gdzie Hutu mieli swoje poletka manioku i kukurydzy, połyskuje teraz naga skała.

A więc z jednej strony potężne, napierające tabuny krów – symbol bogactwa i siły Tutsi – z drugiej ścisnięcia, stłamszeni, wypierani Hutu: nie ma miejsca, nie ma ziemi, ktoś musi odejść albo zginąć. Oto jak wygląda sytuacja w Ruandzie w latach pięćdziesiątych, kiedy na scenę wkraczają Belgowie. Stają się oni teraz bardzo aktywni, bo Afryka przeżywa właśnie moment zapalny, podnosi się fala niepodległościowa, antykolonialna, trzeba więc działać, podejmować decyzje. Belgia należy do tych metropolii, które ów ruch emancypacyjny najbardziej zaskoczył. Bruksela nie ma więc pomysłu, a jej urzędnicy nie bardzo wiedzą, co robić. Jak to zwykle w takich wypadkach, ich odpowiedź jest jedna: opóźniać rozwiązania, odwlekać. Dotychczas Belgowie rządili Ruandą rękoma Tutsi, na nich się opierali i nimi wysługiwali. Ale Tutsi to najlepiej wykształcona i ambitna warstwa Banyaruanda i teraz to oni właśnie żądają niepodległości. I to natychmiast, na co Belgowie są zupełnie nie przygotowani! Więc Bruksela gwałtownie zmienia taktykę: porzuca Tutsi i zaczyna popierać bardziej uległych, pojednawczych Hutu. Zaczyna ich przeciw Tutsi podjudzać. Efekty tej polityki przychodzą szybko. Ośmieleni, zachęceni Hutu ruszają do walki. W 1959 roku w Ruandzie wybucha chłopskie powstanie. Właśnie w Ruandzie, jako jedynym kraju afrykańskim, ruch niepodległościowy przybrał formę społecznej, antyfeudalnej rewolucji. Z całej

Afryki tylko Ruanda przeżyła swój szturm Bastylii, detronizację króla, żyronde i terror. Gromady chłopów, rozjątrzony żywioł uzbrojonych w maczety, motyki i dzidy Hutu ruszył na swoich panów-władców Tutsi. Zaczęła się wielka rzeź, jakiej Afryka dawno nie widziała. Chłopi palili gospodarstwa swoich lordów, a im samym podrzynali gardła i łupali czaszki. Ruanda spłynęła krwią, stanęła w ogniu. Zaczął się masowy ubój bydła, chłopi, często po raz pierwszy w życiu, mogli się do woli najeść mięsa. Kraj w tym czasie liczył 2,6 miliona mieszkańców, w tym było trzysta tysięcy Tutsi. Przyjmuje się, że kilkadziesiąt tysięcy Tutsi zostało wówczas zamordowanych, a drugie tyle uciekło do krajów sąsiednich – Konga, Ugandy, Tanganiki i Burundi. Monarchia i feudalizm przestały istnieć, a kasta Tutsi utraciła swoją dominującą pozycję. Władzę przejęło teraz chłopstwo Hutu. Kiedy Ruanda uzyskała niepodległość w 1962 roku, ludzie z tej właśnie kasty utworzyli pierwszy rząd. Na jego czele stanął wówczas młody dziennikarz Grégoire Kayibanda. W tym czasie byłem w Ruandzie po raz pierwszy. Pamiętam Kigali, stolicę kraju, jako małą miasteczkę. Nie mogłem znaleźć, bo może nawet i nie było, żadnego hotelu. W końcu przygarnęły mnie siostry zakonne, Belgijki, dając mi nocleg w swoim schludnym szpitaliku, na oddziale położniczym.

I Hutu, i Tutsi budzą się z tej rewolucji jak ze złego snu. I jedni, i drudzy przeżyli rzeź – jedni dokonując jej, a drudzy jako jej ofiary, a takie doświadczenie pozostawia w człowieku męczący i trwałe ślad. Uczucia Hutu są w tym momencie mieszane. Z jednej strony pokonali swoich panów, zrzucili feudalne jarzmo i po raz pierwszy zdobyli w kraju władzę, ale z drugiej, nie pobili jednak swoich lordów w sposób ostateczny, nie unicestwili ich do końca i ta świadomość, że przeciwnik został boleśnie zraniony, ale że żyje nadal i będzie szukać zemsty, posiadała w ich sercach niepokonany i śmiertelny strach (pamiętajmy, że lęk przed zemstą

jest głęboko zakorzeniony w mentalności afrykańskiej, że odwieczne prawo zemsty regulowało tu zawsze między-ludzkie, prywatne i klanowe, stosunki). A jest czego się bać. Bo choć Hutu zdobyli górską twierdzę Ruandy i ustanowili w niej swoje rządy, to jednak pozostała w niej piąta kolumna Tutsi (około stu tysięcy), a po drugie – i to może nawet jeszcze groźniejsze – twierdzę opasali swoimi obozami wygnani z niej wczoraj Tutsi.

Metafora i obraz twierdzy nie są tu przesadą. Bo czy przyjdzie nam wjeżdżać do Ruandy od strony Ugandy czy Tanzanii, czy Zairu, zawsze będziemy mieli to samo wrażenie przekraczania bram wznoszącej się przed nami, ukształtowanej z wielkich, wspaniałych gór, twierdzy. Otóż teraz Tutsi, od wczoraj wygnaniec i tułacz, kiedy budzi się rano w obozie uchodźców i wychodzi przed swój nędzny namiot, ma przed oczyma widok gór Ruandy. O tej wczesnej porze dnia jest to widok przepiękny. Często sam zrywałem się o świcie tylko po to, żeby popatrzeć na ten unikalny pejzaż. Przed nami rozciągają się w nieskończoność góry wysokie, ale łagodne. Są szmaragdowe, fioletowe, zielone i całe w oprawie słońca. Nie ma w tym krajobrazie żadnej grozy i czerni skalistych, targanych wichrami turni, urwisk i zrębów, nie czyhają na nas śmiertcionośne lawiny, toczące się skały czy osuwające się rumowiska. Nie. Góry Ruandy promieniują ciepłem i życzliwością, kuszą urodą i ciszą, krystalicznym, bezwietrznym powietrzem, spokojem i doskonałością swoich linii i kształtów. Rankiem zielone doliny wypełnia przejrzysta mgła. Jest to właściwie jasna, połyskująca w słońcu, lekka i zwiewna zasłona, przez którą widać i eukaliptusy, i krzewy bananowców, i pracujących w polu ludzi. Ale Tutsi dostrzegał tam przede wszystkim swoje pasące się stada. Teraz, w obozie uchodźców, stada te, których przecież już nie posiada, a które były dla niego podstawą i sensem istnienia, urastają w jego wyobraźni do mitu i legendy, stają się marzeniem, snem, obsesją.

Tak zawiązuje się dramat ruandyjski, tragedia ludu Banjaruanda, iście palestyńska niemożność pogodzenia racji dwóch społeczności roszczących sobie prawa do tego samego skrawka ziemi, zbyt jednak małego i ciasnego, aby je pomieścić. Wewnątrz tego dramatu rodzi się, z początku jeszcze słaba i nieokreślona, ale z latami coraz bardziej wyraźna i natarczywa pokusa *Endlösung* – ostatecznego rozwiązania.

Na razie jednak jeszcze do tego daleko. Są lata sześćdziesiąte, najbardziej obiecujące i optymistyczne lata Afryki. Panująca na kontynencie atmosfera oczekiwań i euforii sprawia, że nikt nie zwraca uwagi na krwawe wydarzenia w Ruandzie. Nie ma komunikacji i gazet, a zresztą – Ruanda? Gdzie to jest? Jak tam dojechać? W istocie, kraj ten wydaje się przez Boga i ludzi zapomniany. Cicho tu, martwo i – co szybko stwierdzamy – nudno. Przez Ruandę nie przebiega żadna większa trasa, nie ma dużych miast, rzadko tu w ogóle ktoś przyjeżdża. Kiedy lata temu powiedziałem swojemu koledze, reporterowi „The Daily Telegraph”, Michaelowi Fieldowi, że byłem w Ruandzie, spytał: – I widziałeś prezydenta? – Nie – odpowiedziałem. – To po coś tam w ogóle jeździł? – wykrzyknął zdumiony. Wielu moich kolegów uważało, że jedyną ewentualną atrakcją w takim kraju może być prezydent. Jeżeli nie można się z nim spotkać, to po co tam, u licha, jeździć?

Jest faktem, że w takim kraju to, co nas najbardziej uderzy u spotkanych tu ludzi, to głęboki prowincjonalizm ich myślenia. Bo nasz świat, niby-globalny, jest w gruncie rzeczy planetą wielu tysięcy najróżniejszych i nigdzie nie spotykających się prowincji. Podróż po świecie to wędrówka od prowincji do prowincji, a każda z nich jest samotnie i tylko dla siebie świecąca gwiazdą. Dla większości mieszkających tam ludzi rzeczywisty świat kończy się na progu ich domu, na krańcu ich wioski, najwyżej na granicy ich doliny. Świat dalej położony jest nierealny, nieważny i nawet

niepotrzebny, natomiast ten, który mamy pod ręką, w zasięgu naszego wzroku, urasta nam do rozmiarów wielkiego i wszystko inne przesłaniającego kosmosu. Często człowiekowi miejscowemu i przybyszowi z daleka trudno znaleźć wspólny język, ponieważ każdy z nich używa do patrzenia na tę samą okolicę innej optyki. Przybysz posługuje się obiektywem szerokokątnym, który daje nam obraz oddalony, pomniejszony, ale za to o długiej linii horyzontu, a rozmówca miejscowy używał zawsze teleobiektywu czy nawet teleskopu wyolbrzymiającego najmniejszy szczegół.

Ale dla tych, którzy są na miejscu, ich własne dramaty są prawdziwe, a tragedie bolesne i wcale niekoniecznie przesadzone. Podobnie i w Ruandzie. Rewolucja 1959 roku podzieliła naród Banyaruandy na dwa przeciwstawne obozy. Czas, jaki zacznie płynąć od tego momentu, będzie już tylko wzmacniać mechanizmy niezgody, zaostrzać konflikt, raz po raz prowadzić do krwawych kolizji i – ostatecznie – do apokalipsy.

Tutsi, którzy rozłożyli się w obozach wzdłuż granic, spiskują i kontratakują. W roku 1963 uderzają od południa, z sąsiedniego kraju, z Burundi, gdzie ich pobratymcy, burundyjscy Tutsi, sprawują rządy. Po dwóch latach – nowa inwazja Tutsi. Armia Hutu powstrzymuje ją i w odwet organizuje w Ruandzie wielką, okrutną rzeź Tutsi. Ginie ich, rozsiekanych maczetami Hutu, dwadzieścia tysięcy, inni szacują, że pięćdziesiąt. Żaden postronny obserwator w te strony nie dociera, żadna komisja ani media. Pamiętam, że próbowaliśmy – grupa korespondentów – dostać się wówczas do Ruandy, ale nie zostaliśmy przez władze wpuszczeni. W Tanzanii zbieraliśmy tylko głosy tych, co stamtąd uciekli – były to głównie kobiety z dziećmi, przerażone, poranione, zagłodzone. Mężczyzn najczęściej zabijano w pierwszej kolejności, już z tych wypraw nie wracali. Wiele

wojen w Afryce toczy się bez świadków, w skrytości, w miejscach niedostępnych, w ciszy, bez wiedzy świata, albo po prostu przez świat zapomnianych. Tak jest i w wypadku Ruandy. Latami trwają pograniczne walki, pogromy, masakry. Partyzanci Tutsi (zwani przez Hutu – karaluchami) palą wsie i mordują miejscową ludność. Ta z kolei, wspierana własnym wojskiem, urządza gwałty i rzezie.

Żyć w takim kraju – trudno. Bo ciągle jest dużo wiosek i miasteczek o ludności mieszanej. Jedni i drudzy mieszkają obok siebie, mijają się na drogach, pracują w jednym miejscu. A po cichu – spiskują. Bo w takim klimacie podejrzliwości, napięcia i lęku odradza się stara, plemienna, afrykańska tradycja tajnych sekt, sekretnych związków i mafii. Rzeczywistych i urojonych. Każdy do czegoś w skrytości należy, a także jest przekonany, że ten drugi, ten Inny, należy na pewno. I to, oczywiście, do przeciwnej, wrażej organizacji.

Bliźniaczym krajem Ruandy jest jej południowy sąsiad – Burundi. Ruanda i Burundi mają podobną geografie, zbliżony typ społeczeństwa, wspólną, wielowiekową historię. Ich losy rozeszły się dopiero w 1959 roku: w Ruandzie zwyciężyła chłopska rewolucja Hutu, a jej liderzy objęli w państwie władzę, natomiast w Burundi Tutsi utrzymali i nawet umocnili swoje panowanie, rozbudowując armię i tworząc coś w rodzaju feudalnej dyktatury militarnej. Jednakże istniejący dawniej system naczyń połączonych między obu krajami-bliźniakami działał nadal i rzeź Tutsi przez Hutu w Ruandzie wywoływała w odwecie rzeź Hutu przez Tutsi w Burundi i *vice versa*. I tak, kiedy w 1972 roku, zachęceni przykładem swoich braci z Ruandy, Hutu z Burundi próbowali zrobić u siebie powstanie, mordując na początek kilka tysięcy Tutsi, ci w odpowiedzi zabili ponad sto tysięcy Hutu. Nie sam fakt masakry, bo powtarzały się one re-

gularnie w obu krajach, ale jej zatrważające rozmiary wywołały poruszenie wśród Hutu z Ruandy, którzy postanowili jednak zareagować. Dodatkowo skłaniał ich do tego fakt, że w czasie owego pogromu kilkaset tysięcy (czasem podają, że milion) Hutu z Burundi schroniło się w Ruandzie, stwarzając dla tego biednego kraju, który raz po raz nawiedzały klęski głodu, wielki problem: jak wyżywić takie rzesze uchodźców.

Wykorzystując tę krytyczną sytuację (mordują naszych pobratymców w Burundi; nie ma za co utrzymać miliona imigrantów), szef armii ruandyjskiej generał Juvénal Habyarimana dokonuje w 1973 roku zamachu stanu i ogłasza się prezydentem. Zamach ten ujawnił głębokie tarcia i konflikty dzielące społeczność Hutu. Pokonany (a następnie zagłodzony) prezydent Grégoire Kayibanda reprezentował klan Hutu z centrum kraju uznawany za umiarkowanie liberalny. Natomiast nowy władca pochodził z klanu mieszkającego w północno-zachodniej części Ruandy. Klan ten stanowił radykalne, szowinistyczne skrzydło Hutu (żeby uczynić ten obraz bardziej czytelnym, można powiedzieć, że Habyarimana to Radovan Karadžić ruandyjskich Hutu).

Habyarimana będzie odtąd rządził przez dwadzieścia jeden lat, tj. do swojej śmierci w 1994 r. Masywnej budowy, silny, energiczny, całą uwagę skupia na zbudowaniu żelaznej dyktatury. Wprowadza system jednopartyjny. Liderem partii jest on sam – Habyarimana. Członkami partii muszą być wszyscy obywatele kraju od chwili urodzenia. Generał koryguje także panujący dotąd, zbyt uproszczony schemat wrogości: Hutu kontra Tutsi. Schemat ten wzbogaci teraz o dodatkowy wymiar, dodatkowy podział – na władzę i opozycję. Jeżeli będziesz lojalnym Tutsi, możesz zostać sołtysem i wójtem (choć już nie ministrem), jeżeli natomiast będziesz krytykować władzę, pójdiesz za kratki albo na szafot, choćbyś był stuprocentowym Hutu. I postępując w ten sposób, generał miał rację, ponieważ w opozycji do jego

dyktatury byli nie tylko Tutsi, ale również ogromne rzesze Hutu, które szczerze go nienawidziły i zwalczały jak mogły. Konflikt w Ruandzie był nie tylko niezgodą kast, ale i ostrym zderzeniem między dyktaturą a demokracją. Oto dlaczego cały język, całe myślenie kategoriami etnicznymi są tak mylące i bałamutne. Zacierają one bowiem i gubią wszystkie najgłębsze wartości – wartość dobra przeciw złu, prawdy przeciw kłamstwu, demokracji przeciw dyktaturze, ograniczając się tylko do jednej, powierzchownej i drugorzędnej dychotomii, jednego kontrastu, opozycji: jest wart wszystkiego tylko dlatego, że to Hutu, albo – niewart niczego, bo to tylko Tutsi.

A więc umacnianie dyktatury to było pierwsze zadanie, któremu poświęcił się Habyarimana. Równoległe z postępani na tym polu zaczęła przybierać na sile i druga tendencja – była nią coraz wyraźniejsza prywatyzacja państwa. Z latami Ruanda stawała się prywatną własnością klanu z Gisenyi (miasteczka, skąd pochodził generał), a ściślej – własnością żony prezydenta, Agathe, jej trzech braci, Sagatawy, Seraphina i Zeda, oraz grona kuzynów tych braci. Agathe i jej bracia należeli do klanu Akazu i ta nazwa stanowiła słowo-klucz, którym można było otworzyć wiele bram prowadzących do tajemniczych labiryntów Ruandy. Sagatawa, Seraphin i Zed mieli luksusowe pałace w okolicach Gisenyi, z których razem z siostrą i jej mężem generałem władali wojskiem, policją, bankami i administracją Ruandy. Ot, małe zagubione w górach na dalekim kontynencie państewko, rządzone przez żarłoczną rodzinę chciwych, despotycznych kacyków. Jak więc się stało, że to ono właśnie zyskało tak smutną sławę w opinii świata?

Już była mowa o tym, że w 1959 roku dziesiątki tysięcy Tutsi, chcąc ratować swoje życie, uciekało z kraju. Potem latami szły ich śladem tysiące i tysiące następnych. Ludzie

ci rozkładali się tuż przy granicy obozami w Zairze, Ugandzie, Tanzanii i Burundi. Tworzyli koczowiska nieszczęśliwych i niecierpliwych wygnańców żyjących jedną myślą – żeby powrócić do domu, do swoich (mitycznych już) stad. Życie w takich obozach jest apatyczne, biedne i rozpaczliwe. Z czasem jednak rodzą się tam i dorastają pokolenia młodych, którzy chcą coś zrobić, próbują o coś walczyć. Ich celem głównym jest oczywiście powrót do ziemi przodków. Ziemia przodków to pojęcie w Afryce święte, to miejsce pożądane i magnetyczne, źródło życia. Ale nie jest łatwo wyrwać się z obozu uchodźców, a nawet jest to przez miejscowe władze zabronione. Wyjątek stanowi Uganda, gdzie od lat trwa wojna domowa, panuje zamęt i bezhołowie. W latach osiemdziesiątych młody działacz Joveri Museveni zaczyna tam wojnę partyzancką z potwornym reżimem psychopaty i oprawcy Milona Obote'a. Museveni potrzebuje ludzi. I szybko ich znajduje, bo oprócz jego ugandyjskich współbraci zaczynają zgłaszać się do partyzantki młodzi z obozów ruandyjskich: bojowi, żądni walki Tutsi. Museveni przyjmuje ich chętnie. W lesie, pod kierunkiem fachowych instruktorów, przechodzą w Ugandzie szkolenie wojskowe, a wielu z nich kończy za granicą szkoły oficerskie. W styczniu 1986 r. Museveni na czele swoich oddziałów wkracza do Kampali i obejmuje władzę. Wieloma tymi oddziałami dowodzą albo znajdują się w ich szeregach owi młodzi Tutsi, urodzeni już w obozach synowie wypędzonych z Ruandy ojców.

Przez długi czas nikt nie zwraca uwagi na fakt, że w Ugandzie wyrosła dobrze wykształcona i doświadczona w walkach armia mścicieli Tutsi, którzy tylko myślą, jak by tu wziąć odwet za hańbę i krzywdy wyrządzone ich rodzinom. Na razie odbywają tajne zebrania, powołują organizację Narodowy Front Ruandy i przygotowują się do ataku. W nocy 30 września 1990 roku znikają z koszar armii ugandyjskiej i z przygranicznych obozów i o świcie wkraczają

na terytorium Ruandy. W Kigali zaskoczenie władzy jest całkowite. Zaskoczenie i przerażenie. Habyarimana ma armię słabą i zdemoralizowaną, a od granicy z Ugandą do Kigali jest niewiele ponad 150 kilometrów i partyzanci mogą się zjawić w stolicy za dzień, dwa. Tak by z pewnością było, bo wojsko Habyarimany nie stawiało żadnego oporu, i może nie doszłoby nigdy do owej hekatombi, rzezi i ludobójstwa roku 1994, gdyby nie jeden telefon. Był to telefon generała Habyarimany do prezydenta Mitterranda o pomoc.

Mitterrand był pod silną presją proafrykańskiego lobby. O ile większość metropolii europejskich radykalnie zerwała ze swoim dziedzictwem kolonialnym, o tyle w wypadku Francji jest inaczej. Po dawnej epoce pozostała jej bowiem duża, czynna i dobrze zorganizowana armia ludzi, którzy zrobili kariery w administracji kolonialnej, spędzili (nieźle!) życie w koloniach, a teraz w Europie są już obcy, czują się nieprzydatni i niepotrzebni. Jednocześnie wierzą głęboko, że Francja jest nie tylko krajem europejskim, ale także wspólnotą wszystkich ludów kultury i języka francuskiego, że, słowem, Francja to także globalna przestrzeń kulturalno-językowa: *Francophonie*. Filozofia ta przełożona na uproszczony język geopolityki mówi, że jeśli ktoś gdzieś na świecie atakuje kraj frankojęzyczny, to niemal tak, jakby uderzył w samą Francję. W dodatku urzędników i generałów z lobby proafrykańskiego uwiera jeszcze dotkliwie kompleks Faszody. Kilka słów na ten temat. Otóż w XIX wieku, kiedy kraje Europy dzieliły między siebie Afrykę, Londynem i Paryżem rządziła dziwaczna (choć wówczas zrozumiała) obsesja, aby swoje posiadłości na tym kontynencie mieć ułożone w linii prostej i aby istniała między nimi terytorialna ciągłość. Londyn chciał mieć taką linię z północy na południe – z Kairu do Cape Town, a Paryż – z

zachodu na wschód, tj. z Dakaru do Dżibuti. Jeżeli teraz weźmiemy mapę Afryki i wykreślimy na niej dwie prostopadłe linie, to skrzyżują się one w południowym Sudanie, w miejscu, gdzie nad Nilem leży mała rybacka wioska – Faszoda. Panowało wówczas w Europie przekonanie, że kto będzie miał Faszodę, ten zrealizuje swój ekspansjonistyczny ideał jednoliniowego kolonializmu. Między Londynem i Paryżem zaczął się wyścig. Obie stolice wysłały w kierunku Faszody swoje ekspedycje militarne. Pierwsi dotarli Francuzi. 16 lipca 1898 roku, pokonując pieszo straszliwą trasę z Dakaru, doszedł do Faszody kapitan J.D. Marchard i zatknął tu francuską flagę. Oddział Marcharda składał się ze stu pięćdziesięciu Senegalczyków – dzielnych i oddanych mu ludzi. Paryż szalał z radości. Francuzów rozpie-rała duma. Ale w dwa miesiące później dotarli tu także Anglicy. Dowodzący ekspedycją lord Kitchener ze zdumieniem stwierdził, że Faszoda jest już zajęta. Nie zważając na to, wywiesił również flagę brytyjską. Londyn szaleje z radości. Anglików rozpie-ra duma. Oba kraje żyją teraz w gorączce nacjonalistycznej euforii. Z początku żadna strona nie chce ustąpić. Wiele wskazywało na to, że I wojna światowa rozpocznie się już wówczas, w 1898 roku – o Faszodę. W końcu (ale to długa historia) Francuzi musieli się wycofać. Zwyciężyła Anglia. Wśród starych, francuskich kolonów epizod Faszody jest ciągle bolesną raną i nawet dziś na wiadomość, że *Anglophones* gdzieś próbują się ruszyć, od razu rzucają się do ataku.

Tak było i tym razem, kiedy Paryż dowiedział się, że anglojęzyczni Tutsi z terenów anglojęzycznej Ugandy wtargnęli na terytorium frankojęzycznej Ruandy, naruszyli granice *Francophonie*.

Kolumny Frontu Narodowego Ruandy zbliżały się już do stolicy, a rząd i klan Habyarimany pakował walizki, kiedy

na lotnisko w Kigali samoloty przywiozły francuskich spadochroniarzy. Oficjalnie podają, że było ich dwie kompanie. Ale to wystarczyło. Partyzanci chcieli walczyć z reżimem Habyarimany, ale woleli nie ryzykować wojny z Francją: nie mieli szans. Przerwali więc ofensywę na Kigali, ale pozostali w Ruandzie, zajmując na stałe jej północno-wschodnie obszary. Kraj *de facto* został podzielony, z tym że obie strony traktowały to jako stan tymczasowy, prowizoryczny. Habyarimana liczył, że z czasem będzie na tyle silny, iż wyprze partyzantów, ci zaś, że kiedyś Francuzi wycofają się i wówczas reżim razem z całym klanem Akazu padną następnego dnia.

Nic gorszego niż taki stan ni wojny, ni pokoju. Bo jedni szli do walki z nadzieją, że wygrają i spożyją owoce zwycięstwa. Tymczasem marzenie to nie spełnia się – ofensywę trzeba zawiesić. Jeszcze gorsze panują nastroje wśród zaatakowanych: co prawda przetrwali, ale zobaczyli widmo klęski, poczuli, że koniec ich panowania jest możliwy. Chcą więc ratować się za wszelką cenę.

Między ofensywą z października 1990 a rzezią z kwietnia 1994 minie trzy i pół roku. W obozie rządzących Ruandą dochodzi do gwałtownych sporów między zwolennikami kompromisu i utworzenia koalicyjnego, narodowego rządu (ludzie Habyarimany plus partyzanci) a fanatycznym, despotycznym klanem Akazu kierowanym przez Agathe i jej braci. Sam Habyarimana kluczy, waha się, nie wie, co robić, i coraz bardziej traci wpływ na rozwój wypadków. Szybko i niepodzielnie górę bierze szowinistyczna linia klanu Akazu. Obóz Akazu ma swoich ideologów – to intelektualści, uczeni, profesorowie wydziałów historii i filozofii ruandyjskiego uniwersytetu w Butare – Ferdinand Nahimana, Casimir Bizimungu, Leon Mugesira i kilku innych. To oni właśnie formułują ideologię, która uzasadni ludobójstwo jako właściwie jedyne wyjście, jedyny sposób własnego przetrwania. Teoria Nahimany i jego kolegów głosi, że

Tutsi to najzwyczajniej obca rasa. To Niloci, którzy przyszli do Ruandy gdzieś znad Nilu, podbili rodzimych mieszkańców tej ziemi – Hutu, zaczęli ich wyzyskiwać, niewolić i rozkładać od wewnątrz. Tutsi zawładnęli wszystkim, co jest w Ruandzie cenne: ziemią, bydłem, rynkami, a z czasem i państwem. Hutu zostali zepchnięci do roli podbitego narodu, który wiekami żył w nędzy, głodzie i poniżeniu. Ale naród Hutu musi odzyskać swoją tożsamość i godność, jako równy zając miejsce wśród innych narodów świata.

Czego jednak – zastanawia się w dziesiątkach wystąpień, artykułów i broszur Nahimana – uczy nas historia? Jej doświadczenia są tragiczne, napełniają przygnębiającym pesymizmem. Cała historia stosunków Hutu – Tutsi to czarne pasmo nieustających pogromów i rzezi, wzajemnego wyniszczania się, przymusowych migracji, rozjątrzonej nienawiści. W małej Ruandzie nie ma miejsca na dwa tak na śmierć i życie skłócone i obce sobie narody. W dodatku ludność Ruandy przyrasta w zawrotnym tempie. W połowie wieku kraj miał dwa miliony mieszkańców, teraz, po pięćdziesięciu latach, mieszka w nim już blisko dziewięć milionów. Jakie jest więc wyjście z tego zakłętego kręgu, z tego okrutnego fatum, któremu winni są zresztą, jak samokrytycznie przyznaje Mugesira, sami Hutu: „W 1959 roku popełniliśmy fatalny błąd, pozwalając, żeby Tutsi uciekli. Powinniśmy wtedy działać: zetrzeć ich z powierzchni ziemi”. Profesor uważa, że to ostatni moment, aby ten błąd naprawić. Tutsi muszą wrócić do swojej prawdziwej ojczyzny, gdzieś nad Nilem. Odeślijmy ich tam, nawołuje, „żywych albo martwych”. Tak więc uczeni z Butare widzą jako jedyne wyjście – ostateczne rozwiązanie: ktoś musi zginąć, przestać istnieć raz na zawsze.

I zaczynają się przygotowania. Armia, która liczyła pięć tysięcy ludzi, została powiększona do 35 tysięcy żołnierzy. Drugą siłą uderzeniową staje się Gwardia Prezydencka, elitarne, nowoczesne i bogato wyposażone jednostki (instruk-

torów przysyła Francja, a broń i sprzęt – Francja, RPA i Egipt). Ale największy nacisk kładzie się na tworzenie masowej, paramilitarnej organizacji – Interahamwe (tzn. Uderzmy Razem). Należą do niej i odbywają w niej szkolenia wojskowe i ideologiczne ludzie ze wsi i miasteczek, bezrobotna młodzież i biedne chłopstwo, uczniowie, studenci i urzędnicy – olbrzymia rzesza, istne pospolite ruszenie, którego zadaniem będzie dokonać apokalipsy. Jednocześnie podprefekci i prefekci mają na polecenie rządu sporządzać i dostarczać listy przeciwników władzy, wszelkich ludzi podejrzanych, niepewnych, dwuznacznych, najróżniejszych malkontentów, pesymistów, sceptyków i liberałów. Organem teoretycznym klanu Akazu jest pismo „Kangura”, ale głównym źródłem propagandy, a także rozkazów dla niepiśmiennego przecieź w większości społeczeństwa jest Radio Mille Collines, które później, w czasie rzezi, nadawać będzie kilka razy dziennie apel: „Śmierć! Śmierć! Groby z ciałami Tutsi są wypełnione dopiero do połowy. Spieszcie się, aby zapełnić je do końca!”.

W połowie roku 1993 państwa afrykańskie wymusiły na Habyarimanie zawarcie porozumienia z Frontem Narodowym Ruandy (FNR). Partyzanci mieli wejść w skład rządu i parlamentu oraz stanowić czterdzieści procent armii. Ale taki kompromis był nie do przyjęcia dla klanu Akazu. Traciliby monopol władzy, a na to nie chcieli się zgodzić. Uznali, że wybiła godzina ostatecznego rozwiązania.

6 kwietnia 1994 roku „nieznani sprawcy” zestrzelili rakieta w Kigali podchodzący do lądowania samolot, w którym leciał wracający z zagranicy prezydent Habyarimana, zhańbiony podpisaniem kompromisu z wrogami. Było to hasłem do rozpoczęcia rzezi przeciwników reżimu – Tutsi przede wszystkim, ale także licznej opozycji Hutu. Kierowana przez ów reżim masakra bezbronnej ludności trwała

trzy miesiące, a więc do momentu, kiedy wojska FNR oparowały cały kraj, zmuszając przeciwnika do ucieczki.

Różnie szacują liczbę ofiar. Jedni podają – pół miliona, inni – milion. Tego dokładnie nikt nie obliczy. Przeraza najbardziej to, że wczoraj jeszcze niewinni ludzie wymordowali innych, zupełnie niewinnych ludzi, i to bez żadnego powodu, bez potrzeby. Zresztą gdyby to nawet nie był milion, tylko na przykład jeden niewinny, czy wówczas też nie byłby to dostateczny dowód, że diabeł jest wśród nas, tyle że wiosną 1994 roku przebywał akurat w Ruandzie?

Pół miliona–milion zabitych to oczywiście tragicznie dużo. Ale z drugiej strony, znając piekielną siłę rażenia armii Habyarimany, jej helikoptery, cekaemy, artylerię i wozy pancerne, można było w ciągu trzech miesięcy systematycznego strzelania zgładzić o wiele więcej ludzi. A jednak tak się nie stało. Jednak w większości ginęli oni nie od bomb i cekaemów, tylko padali rozsiekani i zatłuczeni bronią najbardziej prymitywną – maczetami, młotami, dzidami i kijami. Bo też liderom reżimu nie tylko chodziło o cel – ostateczne rozwiązanie. Ważne było również, jak się do niego zmierza. Ważne było, aby po drodze do Najwyższego Ideалу, jakim miało być unicestwienie wroga raz na zawsze, zawiązała się przestępcza wspólnota narodu, aby przez masowy udział w zbrodni powstało łączące wszystkich jedno poczucie winy, tak by każdy, mając na swoim koncie czyjąś śmierć, wiedział, że odąd wisi nad nim nieodwołalne prawo odwetu, za którym dostrzeże on widmo swojej własnej śmierci.

O ile w systemach hitlerowskim i stalinowskim śmierć zadawali oprawcy z instytucji wyspecjalizowanych – SS czy NKWD, a zbrodnia była dziełem wydzielonych formacji, działających w miejscach ukrytych, to w Ruandzie chodziło o to, żeby śmierć zadał każdy, żeby zbrodnia była pro-

duktem masowego, niejako ludowego i wręcz żywiołowego wystąpienia, w którym udział wzięliby wszyscy – aby nie było rąk, które nie umoczyłyby się we krwi ludzi, uznanych przez reżim za wrogów.

Dlatego potem wystraszeni i już pokonani Hutu uciekali do Zairu i tam błakali się z miejsca na miejsce, niosąc na głowach swój nędzny dobytek. Ludzie w Europie, oglądając w telewizorze te nie kończące się kolumny, nie mogli zrozumieć, jaka siła popycha tych wycieńczonych wędrowców, co każe tym szkieletom tak iść i iść, w karnych szeregach, bez przestanku i odpoczynku, bez jedzenia i picia, bez słowa i uśmiechu, pokornie, posłusznie i z pustką w oczach, przemierzać swoją upiorną drogę winy i męki.